



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

I.

Do niewielkiego gabinetu, umeblowanego wykwintnie fantazyjnymi mebelkami, pokrytymi ciemnoniebieskim aksamitem, weszła młoda, nieładna, ale zgrabna pokojówka, i stanęła przy drzwiach, patrząc na panią, siedzącą w wygodnym foteliku, otuloną miękkim, popielatym szalem. Pani, kładąc na kolanach czytana książkę, spojrzała przelotnie na stojącą i spytała obojętnie:

— Czego? Julciu.

— Kucharz pyta, czy może być na obiad krem czekoladowy?

— Krem? — zmarszczyła jasne, pięknie zarysowane czoło, — dlaczego zmienia moją dyspozycję?

— Kuchcik coś tam popsuł i z kremem zdąży na obiad, a już późno.

— Niech będzie krem, — westchnęła i wzięła książkę do ręki, lecz mimo, że drzwi zamknęły się za służącą, nie czytała.

Zmęczonemi oczyma spojrzała w okno, przez które wpadał dzień posępny, smutny, listopadowy. Po niebie przewalały się szare, jednolite chmury, a bezlistne konary drzew przeginały się pod podmuchem wiatru. Od czasu do czasu drobny, ostry deszcz bił o szyby, dźwięcząc głucho.

Zwolna podniosła się z fotela, wyprostowała swą gibką, smukłą postać i elastycznymi krokami zbliżyła się do okna. Patrzyła na znany sobie ogród, dziś pożółkły, błotnisty, ciągnący się, jak brudna, podarta płachta, z garbami czarnej ziemi, nakrywającej krzewy wrażliwsze na zimno. Za ogrodem widniały puste pola i tonęły w szarej, mokrej mgie. Z całego krajobrazu wiał przejmujący, beznadziejny smutek i tęsknota.

Na twarzy jej, młodej, pięknej, wrażliwej, odbił się nastrój tego smutnego dnia wyrazem przygnębienia. Odwróciła się od okna i wolna przeszła do fotela, usiadła, wzięła książkę do ręki; wtem posłyszała wesoły głosik dziecinny z przyległego pokoju. Przez chwilę nasłuchiwała, zrobiła lekki ruch, jak do wstania, ale wsunęła się głębiej w fotel, otuliła się szalenie i patrzyła bezcelowo przed siebie.

Oczy jej błądziły po tapetach perłowych ze złoconymi zygzakami, po meblach, chwilę zatrzymały się na koszu z kwitnącymi kwiatami, a dłużej spoczęły na portrecie męża, zawieszonym nad biurkiem. Z portretu patrzyły na nią wesołe, zadowolone oczy ciemne, na twarzy zdrowej, pełnej, z wąsami podkreślonymi, które ocieniały usta czerwone, zmysłowe. Z portretu odwróciła oczy niechętnie, po twarzy jej przebiegł uśmiech gorzki i wsparłszy głowę na rękę, przymknęła oczy.

W szarem świetle, na ciemnym tle aksamitu fotela, twarz jej zdawała się bledszą, niemal przezroczystą, a subtelne rysy, małe, ślicznie wykrojone uszczeczka, przypominały najpiękniejsze kamee. Twarz cała przepełniona była przygnębieniem, oczy lekko podkreślone fioletem, około ust rysy smutku, a na jasnym czole dwie poprzeczne ledwie widoczne zmarszczki. Włosy ciemnobłond związane były niedbale w tyle głowy, część ich jednak niesforna, wiła się przy czole i na białej, krągłej szyi.

— Mamusiul... Mamusiul! — wołało dziecko za drzwiami.

Otworzyła oczy, poruszyła się niespokojnie, twarz się ożywiła i zawołała melodyjnym głosem:

— Ninko! Wejdz!

Boczne drzwi otworzyły się i do gabinetu wbiegła czteroletnia dziewczynka z ciemnymi wijącymi się włoskami, w sukieneczce czystej, ale zmiętej, zabrudzonymi rękami starała się nagiąć ku sobie twarz matki i wołała rozradowana:

— Mamusiul! Mam piłkę, skacze tak wysoko!

— Ninko, masz brudne rączki... niech Berska umyje dziecko, — spojrzała z wymówką na bonę, kobietę starszą, z pogodną twarzą i dobrym uśmiechem.

— Bawi się piłką i zabrudziła rączki, — usprawiedliwiała się, — chodź Ninko, umyję cię.

— Nie chcę, — zawołało dziecko stanowczo, — mamusia piłkę zobaczy. Dobrze mamusiul? — przymilało się, tuląc się do kolan matki.

— Dobrze, Ninko... pokaż.

Dziecko potrącając krzeselko pobiegło i zarumienione, zdyszane, z radosną dumą przyniosło tanią piłkę gumową, jaskrawo pomalowaną.

— Kto ci dał, Ninko, tę piłkę?

— Antoniowa, mamusiul... a jak ona tuli się, — rzuciła piłkę na podłogę, biegła za nią i wsunęła się pod kozłkę, ażeby piłkę wydobyć.

Bona z uśmiechem przyjemnym śledziła ruchy dziecka, natomiast matka z niepokojem zawołała:

— Ninko! Uwaga!

Dziecko, wydostawszy piłkę, próbowało pokazać, jak ona skacze, najpierw na dywanie, ale że nie udawała się sztuka, pobiegło w stronę biurka, a piłka odbijając się padła pomiędzy kwiaty. Zanim bona podbiegła, Ninka przewróciła kosz z kwiatami, uczepliwszy się rękami brzegu. Wazoniki z brzękiem i hałasem padały na ziemię, zasypując Ninkę przerażoną.

Matka zerwała się z fotela, blada, przestraszona, przybiegła do dziecka, opatrzyła gorączkowo, czy nie skaleczyło się, ucałowała je i rzekła gniewnie do bony:

— Mówiłam już, ażeby nikomu nie pozwalać na dawanie prezentów...

— To przecież jej mamka, — powiedziała cicho.

— Wszystko jedno, mamka, czy kto inny, tylko ojciec i matka dają dziecku zabawki. Piłkę schować zaraz!

— Zaraz! — powtórzyła z naciskiem, — a dziecko umyć i przebrać.

Ninka zrozumiała jedno tylko: że piłka stracona, z ciemnych ocząt popłynęły najpierw ciche łzy, a tuż za nimi głośny płacz i słowa:

— Mamusiul! Piłka moja!

— Dam ci lalkę, Ninko.

— Nie! Nie! Piłka moja, Antoniowa mi dała.

— Cicho, Ninko! — zawołała surowo, — idź, umyj się i ubierz.

Bona wyprowadziła płaczące dziecko, a pani Wanda zmęczona, jak po ciężkiej pracy, usiadła na fotelu i pograżyła się w gorzkim rozmyśleniu nad marnością życia.

Oto Ninka taka wesoła, zdrowa, miła, bawi się tą wstępną piłką, przewraca kosz z kwiatami i kto wie, co sobie zrobiła, jakiego nabyła kalectwa? Dolatywał do niej płacz rozżalonego dziecka... a może wazonik padł na jej główkę, naruszył mózg, dostanie zapalenia, a może pomieszania?... Przecież nie płakałaby za piłką tak

długo i głośno, pewno boli ją główka, ona ma tak miękkie ciemię, które ugięło się pod wazonikiem i naruszyło mózg.

Taki niepokój nią owładnął, że wstała i szybko weszła do przyległego dziecinnego pokoju. Bona uspokajała rozkapryszone dziecko i ubierała w świeżą sukienkę. Ninka, obaczywszy matkę uderzyła w głośniejszy płacz. Pani Wanda zbliżyła się i dotykając białą, delikatną ręką głowy dziecka, spytała troskliwie:

— Co boli Ninusię?

— Ja chcę piłki, to moja piłka!

— Kupię ci ładniejszą, większą... ale powiedz mamusi, co cię boli?

— Ja chcę mojej piłki, — odsuwała rękę matki, — innej nie chcę.

— Ninko, jeśli kochasz mamusię, powiesz, co cię boli? pewno główka?

— Nie kocham mamusi, zabrała mi moją piłkę.

— Brzydko tak mówić, — nauczała bona, — mamusia dobra i kochana. To nic, proszę pani, rozkaprysiła się Ninka, ale będzie grzeczna.

Dziecko jednak patrzyło chmurnie, i od chwili do chwili przelewało łzy. Niemile dotknęło to matkę, że Ninka jej nie kocha, wyobraziła sobie, że straci miłość i zaufanie dziecka, że będzie nieposłuszne, uparte, złe, a może ją znienawidzi, i po krótkim wahaniu powiedziała łagodnie:

— Ninko, dostaniesz tę piłkę, ale powiedz, czy główka boli?

— Piłka! Piłka! — zawołała uradowana, a pochwyciwszy podaną przez bonę piłkę, zaczęła się bawić, biegając po pokoju.

— Ninko, moje dzieciątko, boli główka? Powiedz!

— Nie boli, — goniła za piłką.

— I kochasz mamusię?

— Kocham, mamusia oddała mi piłkę, — zawołało dziecko, nie przerywając zabawy.

Pani Wanda poszła do siebie zmęczona wrażeniami, usiadła i spojrzała na rozsypane wazoniki na podłodze. Przypomniała sobie swe obawy o głowę Ninki i pomyślała: tym razem nic się nie stało, ale co z tej Ninki wyrośnie? Taka porywcza, uparta, kapryśna i taka nerwowa, wrażliwa... napewno będzie w życiu nieszczęśliwa, bo szorstkość ma po ojcu, a nerwy po mnie! I poci ona się narodziła? Przyszła na świat z odziedziczoną chorobą nerwów. To było zbrodnią z mej strony wychodzić za mąż i mieć takie chore dziecko. I coraz usilniej oskarżała siebie, męża, bo nie tylko Ninka nie będzie szczęśliwa, ale i jej dzieci, jeśli za mąż pójdzie.

Drzwi otworzyły się szeroko i wszedł mąż, trzydziestoosmioletni ciemny szatyn, w butach wysokich, w marynarce znoszonej, w koszuli miękkiej, z wykładanym zbrudzonym kołnierzem, bez krawatki, z twarzą nieogoloną. W gabinecie przesyconym delikatną wonią kwiatów rozszedł się zapach papierosa, który palił wchodząc.

— Wandziu, możebyś kazała podawać obiad, już dawno czas.

Nic nie mówiąc spojrzała z odcieniem zdziwienia na ubranie męża, który dostrzegłszy to, rzekł z uśmiechem:

— Dziś nie przebiore się do obiadu, bo niema czasu.